

Zbudził się późno, wyspany i tylko przez sekundę zdumiony nieznanym otoczeniem. Korona niskiej jabłonki niemal wnikała w okno i dzięki niej było w pokoju przyjemnie chłodno. Widoczna stąd część ogrodu leżała w słonecznym blasku. W pejzażu za ogrodem nie było nic obcego; w morwowym szpalerze biegła tam lubaczowska droga, z mostem dudniącym krótko pod kołami furmanki, a w dole, niewidoczna, musiała płynąć Bruśnica.

Jest coś krzepiącego i napędlającego optymizmem w dobrej, trwałej pogodzie tej części Europy, gdzie kapryśność morskiego klimatu przenika się z surową, zdecydowaną aurą wnętrza wielkiego kontynentu. W tych stronach, na Roztoczu, nie ma skrajności żadnego z tych klimatów, lata bywają znośnie gorące, z pogodą trwającą nieraz dość długo ale rzadko za długo, zimy zaś są śnieżne i mroźne, zimowo urodziwe i pozbawione przesady syberyjskich sorokowików. Leżąc tu, w przyjemnej sytości snu, oddychając powietrzem o krystalicznej czystości, niezrównanym powietrzem tego miejsca, nie zatrutego wylęgami przemysłu, Krzysztof myślał o znanych mu klimatach, o szkockim lecie skrapianym dzień w dzień jesieniami, zimnymi deszczami, o londyńskim brudnym listopadzie, który może trwać przez cztery miesiące bez przerwy, o zimie pod Murmańskiem, uśmiercającej dzikimi przeskokami temperatury, o tangańkańskiej zimie, zwałającej się oceanem ulew, o lecie pustynnych tropików, upiornym lecie piekła, w którym człowiek budzi się rano z żalosną pewnością uderzeń i następnie przeżywa ją godziną po godzinie, obłąkany potem, łapiący z wysiłkiem rozpalone powietrze, w nieustannym zagrożeniu śmiercią z udaru i w gnębiącym, odbierającym siły przeświadczeniu, że nie się w tym nie zmieni ani jutro, ani pojutrze, ani za miesiąc. Było dobrze leżeć tak, w cieniu jabłonki, pod słońcem, które nie uderza, pod niebem, które nie nuży jednostajnością, było dobrze choćby się nawet wiedziało, jak wiedział Krzysztof, że w tych atmosferycznych refleksjach jest sporo megalomanii urodzonego tu człowieka. Nie wiele widać wymaga pielęgnacji zaściankowe zarozumiałstwo; starczy czasem stanąć na swojej ziemi, na tej mikroskopijnej plamce globu, która jest miejscem urodzenia, żeby odczuć naiwną dumę i uzasadnić wyższość tej okolicy nad jakąkolwiek inną.

Nie zasnął od dawna takiej dziwnej, łagodnej pogody, skłaniającej do radości i beztroski i urzekła go po prostu, kiedy otworzył oczy. Po-

OLGIERD TERLECKI

PRÓG DOMU

tem, rozbudzony, bronił się przed urzeczeniem i wytwarzał w sobie dystans do tutejszości, dystans, którego miał chyba jeszcze dziś potrzebować. W domu nie było nikogo, co mu zresztą zapowiedziano, młodzi gdzieś pracowali, a matka pewno wyszła po jakieś sprawunki. W kuchni na płycie znalazł gorącą wodę i poczucie dystansu umocniło się nad prymitywną umywalką, w której nie było odpływu i dopływu i którą za każdym razem musiał się opróżniać i napełniać. Przypominało to trochę pewien hotelik w Prowansji, ale wtedy zatrzymał się w nim z konieczności, nie mogąc sobie pozwolić na coś bardziej komfortowego. Ogolił się, ubrał starannie, z pedanterią człowieka dbającego o swój wygląd; nie bez wahania włożył wczorajszą koszulę, która zresztą w tutejszym czystym powietrzu mało się przybrudziła i wyglądała prawie świeżo. Pomyślał nawet, że mógłby sam ją przeprać, jej tkanina schła w cieple w kilka minut i obywała się bez prasowania, ale było mu niejako aż tak bezceremonialnie gospodarzyć w tym gościnnym domu.

Kończył właśnie swą toaletę, kiedy gdzieś w domu zaskrzypiała podłoga. Usłyszał jakieś szepty i skradające się kroki; wyrwał do sieni i znalazł tam siostrzeńca Moniki z jego kolegą. Skorzystali z dużej paazy i przypędzili tu ze szkoły; chcieli koniecznie zobaczyć Afrykańczyka w porze, w której nie jest w niewoli dorosłych i z nim znów się gdzieś nie zapodzieje na następne dwadzieścia pięć lat. Ośmieleni eksplodowali pytaniami, które go na przemian rozśmieszały i zadziwiała. Musiał im powiedzieć, czy naprawdę śnieg leży w lecie na Kilimandżaro, czy brał udział w safari i zastrzelił choć jednego lwa, czy długo płynie się statkiem i jakim leciał samolotem, czy je codziennie banany i jak się tam w ogóle dostał, gdzie na świecie jest najciekawiej i czy słonie dostają wścieklizny. Odpowiadał możliwie poważnie i miał wrażenie, że ich trochę rozczerował. Przetrzymali go z piętnaście minut i pognali z powrotem. Pomyślał, że w przyszłości musi być dla nich cokolwiek bardziej barwny i że w jego opowieści powinien się jednak zjawić choć jeden zastrzelony lew; i zaraz się spostrzegł, że w związku z tymi chłopcami jak

i zresztą w związku z wszystkimi tu ludźmi nie czeka go żadna przyszłość. Chłodna rzeczowość tej refleksji też jakoś umacniała poczucie dystansu. I wydało mu się, że jest już dostatecznie odporny i że teraz może bez lęku wrócić na tanto miejsce.

Zamierzając już wyjść, rozejrzał się jeszcze, czy zostawia wszystko w porządku i właśnie wtedy zobaczył fotografię na półce przy tapczanie. Niewymyślna ramka była tą właśnie rzeczą, którą jak to sobie natychmiast przypomniał, Monika wieczorem poprawiała, przez moment mając ją w ręce, i nad którą jakby się króciutko zawahała; zajęty nią samą nie zwrócił na to uwagi. Fotografia przedstawiała mężczyznę koło czterdziestki, a więc

znowu jakiegoś rówieśnika, twarz zwróconą en trois-quarts o energicznym wyrazie i zrastających się brwiach, co przy braku uśmiechu przydawało jej pochmurności. Mężczyźnie trudno ocenić urodę innego mężczyzny i Krzysztof zastanawiał się bezradnie, jakby to było istotne, czy ów człowiek na fotografii może być uważany za przystojnego. Musiał być kimś bliskim dla Moniki, może nawet kimś bardzo bliskim; nie stawia się w pokoju oprawionej podobizny jakiegokolwiek znajomego. Możliwe, że wczoraj wieczorem przyszło Monice na myśl zabrać stąd fotografię, i jeśli tak było, dlaczego chciała to zrobić? Czy nie mogła się rozstać z tym przedmiotem, bardzo widać drogim, czy też może pragnęła go usunąć z

oczu Krzysztofa, żeby nie sprawić mu przykrości? I wreszcie dlaczego tę rzecz jednak zostawiła: czy chciała mu dać do zrozumienia, że nie może liczyć na żadne szanse, czy też może miał to być sposób na pobudzenie zazdrości i spowodowanie jakiegoś wyraźnego gestu?

Nie miały wiele sensu te medytacje nad fotografią i stwierdzając z przykrością, że wciąż jest w jego rękach, Krzysztof pieczołowicie ustawił ją na miejscu. Czuł się upokorzony mimowolnym z nią kontaktem.

(Nie potrafił sobie wmówić, że ta sprawa jest mu obojętna. Niestety nie jest. Tylko nie wiedziałem aż do teraz, o co właściwie chodzi. A teraz wiem, i nie ma sensu kryć przed samym sobą własnego pragnienia. I także wiem, że nie może być koleżeństwa z Moniką. Nigdy bym nie umiał być przy niej tylko neutralnym znajomym, słuchaczem niepełnych zwierzeń, doradcą w drobnych kłopotach. Są kobiety z

(Dokończenie na str. 2 i 3)



SPOJRZENIE

Józef Litwa

Z POEZJI SŁOWACKIEJ

Stefan Żary

KREW

Gdyby złączyć
wszystką krew przelaną —
byłaby jak Nil.

Wszystka krew
od wieków wytoczona
z ludzi, z ofiarnych zwierząt.
Padalaby dwięście dni
jak tropikalny deszcz.

Zalałaby ulice,
pola i pobożowiska
od Termopil po Wołgograd.

Tysięczne pokolenia dzielnych ofiarodawców
nie wróciłyby krwi utraconej.
A przecież moja aorta pulsuje,
zaciska się tłok serca,
występuje na twarz rumieniec
wzruszenia i gniewu.

Ostry kolec sprawdza,
czy w palcu mam krwi dosyć
i stwierdza,
że mi wystarczy jej na całe życie —
mogę nie żałować kropli,
która płonie rubinem
na alabastrowej róży.

Podczas czuwania
przybija sen mój do ścian
okiem ironicznym
samotność.

Tomaś Janovic

BUTY

I szewc, ten stary, chromy szewc
także jest poetą —
ze skóry wyczaruje sonet damskich czółenek,
z trzech rzemyków splecie wolny wiersz —
sandaly

I szewc jak poeta żarliwy
rozdaje swoje palce, myśli i sny
mężczyznom i kobietom.
Ludzie je podziwiają, gorliwie polerują co rano,
a potem niszczą na surowym bruku.

przełożył JERZY PLEŚNIAROWICZ

Viera Markovicova-Zaturecka

SAMOTNOŚĆ

W mroku usypiania
załadnia moje ściany
pędzłem fantastycznym
samotność.

Na plastowskim szlaku (IV)

„dzieci, wy Polski dożyjecie!”

Z Gdańska szerokim łukiem przez Poznań i Wrocław docieramy na Śląsk opolski. Mijamy czystość, pełne zieleni i kolorowych domów Opole, by zatrzymać się dopiero pod Górą św. Anny, w powiecie strzeleckim.

Góra św. Anny, miejsce upamiętnione krwią powstańców śląskich, drogę sercu każdego mieszkańca tej ziemi.

„Chcę sprzedać kraj nasz
dyplomaci
Hej ludu śląski chwycić za broń!
Za tę krzywdę im dziś zapłaci
Nasza robocza, twarda dłoń...”
Ze słowami tej pieśni ruszyli do walki Ślązacy:

2 maja 1921 roku wybuchło trzecie powstanie śląskie — będące protestem ludu polskiego przeciwko niesprawiedliwym granicom, oddającym w niemieckie władanie tę odwiecznie polską ziemię. Wyjątkowo zaciekle walki toczyły się w rejonie Góry św. Anny: powstańcy opanowali te tereny, docierając aż do Odry.

Zbrojny czyn ludu śląskiego, który nie po raz pierwszy, własną krwią dokumentował swe przywiązanie do Polski nie poszedł na marne. Nawet niechętni nam przedstawiciele mocarstw zachodnich, przebywający na Śląsku z ramienia Ligi Narodów musieli uznać polityczną wymowę powstańczego zrywu. W rezultacie ok. 30 proc. spornego, plebiscytowego terytorium przysłało Polsce.

Nadal przecież pozostała za granicą znaczna część rdzennie polskiej ziemi opolskiej. Zamieszkała tu ludność musiała cierpieć prześladowania, które zwłaszcza od chwili dojścia do władzy Hitlera, przerodziły się w perfidny, obejmujący wszelkie dziedziny życia system niszczenia polskości.

Polską mowę, polski zwyczaj przekazywania z pokolenia na pokolenie, bacznie pilnie, by młodzi nie zapomnieli o swym narodowym pochodzeniu. Przed wiekami żył lud śląski w oderwaniu od matczynej, pielegnującej rodowy opieczaj. Co światlejsi, dysponujący odpowiednimi środkami materialnymi jeździli za kordon graniczny, do niedalekiego Krakowa, by pełną piersią odetchnąć polskością. Stamtąd przywozili narodowe pamiątki i jak relikwie przekazywali je dzieciom. Dziad Bronisławy Gomółowej zamieszkały w Wójtowej Wsi koło Opola nie jeden raz bywał w Krakowie. A babka opowiadała małej Bronce jak to ten Kraków śliczny, ile tam polskich pamiątek...

Dziewczynka zapamiętała zwłaszcza mówione z głębokim przekonaniem, prorocze słowa staruszki: „dzieci, wy Polski dożyjecie!”

Zanim jednak miały się sprawdzić te słowa, wiele jeszcze przejść musiała mała Bronka. W szkole uczono dzieci w języku niemieckim, zabraniając im posługiwania się mową ojców.

— Jak kto mówił w szkole po polsku — opowiada towarzysząca nam przy zwiedzaniu Góry św. Anny, Bronisława Gomółowa — to nauczyciel bił go po ręce.

Bronisława Gomółowa jest dziś siwą, pełną energii i humoru kobietą: aż dziw bierze, skąd ta niewiasta, która przeszła przez piekło hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych — ma tyle sił witalnych.

Usiedliśmy w cieniu zagejnika u stóp dominującego nad wzgórzem monumentalnego pomnika czynu powstańczego, którego twórcą jest największy współczesny rzeźbiarz polski, prof. Xawery Dunikowski. Wśród nas opolanie, Bronisława Gomółowa, jej mąż Józef, nauczyciel miejscowej szkoły — Bugiel, Piotr Głowania — uczestnik powstania śląskiego.

Pani Bronisława nie odpoczywa ani na chwilę. — A może Wam coś zaśpiewać? — pyta z uśmiechem.

— Prosimy bardzo.

— To ja takie stare nasze pioseneczki.

I wszyscy jak urzeczeni słuchamy ludowej przyspiewki:

„Pod moim okienkiem
jest tam biały piosecek,
co mi go podeptot,
mój kochanec...”

Piosenka ma wiele zwrotek, gdy chwalimy pieśniarkę, tłumaczy się skromnie: — albo to mało się naśpiewałam w polskich chórach? W 1929 roku nasz chór „Lutnia” z Opola otwierał polską pieśnią targi poznańskie! A jak poszłam za mąż, przecie mój stary był dyrygentem naszych chórów ludowych, zanim go aresztowali hitlerowcy prowadził 10 polskich chórów. Wywieźli go do Buchenwaldu wraz z ojcem i 5 braćmi...

Nie jeden raz, jak wracaliśmy z próby, zastępowały nam drogę nacjonalistyczne bojówki. Trzeba było kluczyć po polach, przemycić się ścieżkami...

— Ile razy mi szyby w domu wybili — wspomina ogorzwały od słońca rolnik z Centawy, Piotr Głowania, uczestnik powstań śląskich. — Bo u mnie w domu była polska szkoła, a Niemcy to nazywali mnie „polskim inspektorem szkolnym”.

Była w tym zjadliwa ironia, którą by poważnie traktował zwykłego chłopca — inspektora.

— A jak pojechałem do miasta, poszedłem się napić piwa — właściciel Niemiec zamknął mi przed nosem drzwi!

Ty nie masz tu co szukać, idź na piwo do Polski — ryknął, wzbudzając powszechną wesołość pioszów.

Ale doczekałem się swego — a tych co nas, Polaków prześladowali nie ma już na Śląsku!

Za przyznawanie się do polskości trzeba było drogo płacić. Nie wolno było rozmawiać po polsku, dzie-

ciom nadawać polskich imion, kto się odważył posyłać dziecko do polskiej szkoły — mógł oczekiwać najgorszego...

W 1939 roku liczna już rodzina Gomółów powiększyła się o syna. Rodzice postanowili — nie bacząc na związane z tym ryzyko — nadać mu polskie imię Kazimierz...

Niemiec — urzędnik wysłania ich za taką „bezczelność”... Ale Gomółowie byli uparci, nie dali za wygraną. Po trzymiesięcznych staraniach uzyskali wreszcie zezwolenie. Chłopak otrzymał imię Kazimierz. To był rok 1939, początek wojny...

Najpierw przyszli po męża, tak zresztą jak po wszystkich członków Związku Polaków. W 1941 r. skonfiskowali jej gospodarstwo, z gromadką dzieci schroniła się u siostry w Opolu. Przyszli i po nią, w Ravensbrück otrzymała numer 34712...

Niewiele wróciło z obozu i kaźni... Gomółowie ocalili, wrócili na ojcowiznę, odbudowali gospodarstwo.

Cieszą się z rozwoju swej ziemi rodzinnej, są dumni z tego, że Opolszczyzna osiągnęła największe w kraju zbiory.

Po wojnie urodził im się syn, któremu już bez przeszkód dali imię Stanisław...

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

GMACH

Fot — CAF

Ilu nas?

Nie zazdrościmy planistom

Fantazja — wbrew pozorom — nie jest domeną wyłącznie młodości. Każdy w gruncie rzeczy lubi sobie pofantazjować — ba, spora grupa skądinąd poważnych panów takie fantazje uprawia. W niemieckich poważnych dokumentach zwane planami perspektywicznymi. Jak więc będziemy żyli w roku powiedzmy 1980?

Stop. Przede wszystkim ilu nas będzie. To sprawa zasadnicza. Od tego zależy wszystko inne: produkcja, dochód narodowy na głowę ludności, stopa życiowa itp.

A więc ilu nas? Wchodzimy w temat, który w oficjalnym języku nazywa się prognozą demograficzną. Niestety, nasi demografowie (pocieszymy się, że nie tylko nasi) bardziej przypominają telewizyjnego Wicherka aniżeli mózg elektromy.

W 1937 roku GUS opracował prognozę na rok 1975, która przewidywała, że ludność Polski w tym roku osiągnie liczbę 37,7 mln. Jednakże już w r. 1961 prognoza na ten rok odbiegała tak dalece od rzeczywistości, że autorzy czuli się zmuszeni dokonać zasadniczej korekty. Opracowano kilka nowych wariantów, które różniły się od poprzedniej od 1,5 do 4 mln in minus! (33,6 mln ludzi w r. 1975).

Kilka milionów ludzi mniej lub więcej, to rzecz niebagatelna. Skąd się biorą takie różnice? Statystyka rejestruje jedynie fakty. Statystyka

demograficzna robi to samo. Fakty pochodzą z roku 1955. Tymczasem ludzkie zachowanie ulega zmianie pod wpływem wielu czynników, niezwykle trudnych do przewidzenia. To strasznie komplikuje pracę demografów.

Na pewno taki zasadniczy wpływ na „produkcję” dzieci mają warunki ekonomiczne — społeczne i to, co zwykle określa się mianem poziomu życia. W uprzemysłowionych krajach kapitalistycznych, w ciągu kilkudziesięciu lat przed ostatnią wojną, obserwowano niezwykle szybki spadek wskaźnika urodzeń. Przyrost naturalny nie przekraczał tam 1 proc. rocznie, a w niektórych krajach był jeszcze niższy. Dziś sytuacja w tych krajach jest podobna. Można więc zaryzykować wniosek, że w miarę wzrostu poziomu życia następuje spadek liczby urodzeń. Obraz psuje jednak sytuacja w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Po wojnie nastąpił w tych krajach poważny wzrost wskaźnika urodzeń. Przyrost naturalny w Kanadzie dochodzi nawet do 2 proc. rocznie, a w USA jest niewiele niższy.

O ile jednak także niespodzianki dają się jeszcze jako tako przewidzieć i wytłumaczyć, to znacznie bardziej komplikuje cały rachunek medycyna. W krajach Ameryki, Afryki i Azji na przykład wystąpiło

w ostatnich latach zjawisko, które nazywa się powszechnie „eksplozją demograficzną”. Przeszło 3-procentowy roczny wzrost ludności nie należy w tym rejonie do rzadkości. W okresie lat dwudziestych liczba ludności ulegała tutaj podwojeniu. Jest to przede wszystkim rezultat gwałtownego spadku wskaźnika umieralności, wynikający z upowszechnienia zdobyczy medycyny, higieny społecznej, skutecznej walki z chorobami, a przede wszystkim z masowymi chorobami epidemicznymi, które do niedawna dziesiątkowały ludność. Np. zastosowanie poczwierowego DDT do walki przeciw malarzowi, w ciągu kilku lat doprowadziło do gwałtownego spadku śmiertelności. Natomiast wskaźnik urodzeń w dalszym ciągu utrzymuje się na niezmierznie wysokim poziomie.

O wpływie „DDT” na sytuację ludności niech świadczy pomyłki ludzi, którzy się z nim nie liczyli. W r. 1945 jeden z najwybitniejszych demografów amerykańskich (Notestein) ogłosił prognozę, w której szacował liczbę ludności świata w r. 2000 na zaledwie 3.200 mln. Ośliczenia przyjęte przez Światowy Kongres Demograficzny (w Rzymie w r. 1954) zakładały większą liczbę ludności (ok. 3,6 miliarda) niż w r. 1990, a na rok 2000 — 4,9 miliarda. W ostatnich latach, wobec wciąż wzrastającej „eksplozji demograficznej” w krajach ekonomicznie słabo rozwiniętych, przyjmuje się

(Dokończenie na str. 3)

PROG DOMU

(Ciąg dalszy ze str. 1)

którymi taka, wyłącznie taka płaszczyna znajomości po prostu nie jest możliwa. Do nich należy Monika. Bliskość z nią może być tylko bliskością ostateczną, całkowitym porozumieniem kobiety i mężczyzny. I jeżeli to się nie może zdarzyć, jeżeli nie udaje się do tego doprowadzić, znajomość z nią musi być daleka i zdawkowa. Na granicy obcości. Wykoleił mnie ten kraj i nie stać mnie teraz na chłód wobec Moniki. I nie mam pojęcia, co ona o mnie myśli. Może nawet wcale nie myśli. Może jestem dla niej tylko cudzoziemcem, takim Cieszanów w Berlin, któremu nie wypada odmówić gościnności, pomocy i nawet serdeczności, choćby przez wzgląd na miejsce urodzenia, i wszystko co o niej myślę jest tylko traceniem czasu. Ale w końcu mam czas i mogę z nią robić co zechcę).

Idąc bez pośpiechu w pięć minut znalazł się na Rynku. Miasteczko wyglądało jak wyludnione, zaledwie kilka osób poruszało się w zasięgu wzroku. Lecz dla człowieka, który stąd pochodził nie było w tym

widoku niepokojącego i Krzysztof bez trudu odnajdywał swą wiedzę o tym miejscu i jego obyczajach, najdawniejszą wiedzę jaką był mu dana. O tej porze dnia i o tej porze roku nie było komu zapełniać ulic Cieszanowa. Nieliczni urzędnicy siedzieli za biurkami, dzieci były w szkole, z której co trzy kwadransy ogromny harmider niosł się aż na łąki, by po kilku minutach nagle zacićnąć, a reszta mieszkańców zajmowała się swoimi niewielkimi polami i ogrodami, które były dla wielu jedynym źródłem utrzymania. Odległe od węzłów kolejowych, ośrodków przemysłu i głównych szlaków kraju, miasteczko nieruchomości w swe powszednie poranki i tylko ktoś nieświadomy mógł w tym widzieć inartwość.

Przechodząc na ukos Rynkiem Krzysztof spotkał matkę Moniki, wracającą do domu z wyladowaną siatką. Wypadło odebrać jej ten ciężar, który wiązał się, być może, z jego wizytą, i odnieść na miejsce. Zawrócił więc i towarzyszył zadowolonej kobiecie, która wciąż usiłowała odebrać mu siatkę; możliwe, że noszenie kuchennych zakupów było tu zajęciem niegodnym prawdziwe-



„PORTRET”

Józef Ligęza

DA CAPO

Satyra w szczególności nikomu
nie łaje:
Czołem bije osobom, gani obyczaje.
(Franciszek Ksawery Dmochowski)

Po wakacyjnej przerwie Państwowy Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie wznowił działalność artystyczną przedstawieniem komedii Aleksandra Fredry „Mąż i żona”. Sztuka napisana w roku 1821, a wystawiona po raz pierwszy w rok później na scenie lwowskiej, została uznana przez ówczesne „sfery wyższe” za wysoce niemoralną. Młody autor naraził się bowiem ariostokracji ostrą krytyką jej moralności.

Na pozór wierna i bogobojna Elwira zdradza swego męża hrabiego Wacława prowadząc romans z jego serdecznym przyjacielem Alfredem. Sielanki nie mają, „ciąga obawa” i fakt, że „świat ma oczy przenikliwe”. Alfred uroczyście wyznaje jej „miłość stałą”, co nie przeszkadza mu flirtować równocześnie z Justysią — pokojówką i zarazem powiernicą Elwiry. Ostatni z towarzyszy Wacława ma także twarz podwójną. Zarozumiały i nazbyt pewny siebie jest przekonany o wierności żony, której czułość i przesadną troskliwość okazuje tylko przy gościach. Za jej plecami zabawia się z Justysią „w tej samej nieomal dobie” co i Alfred. Taka sytuacja trwałaby jeszcze dość długo, gdyby nie intryga przebiegłej i sprytnej pokojówki Justysia zamierza oddalić z domu swych państwa Alfreda i spokojnie zażywać „bezpiecznej” miłości z Wacławem.

Ciągle się lękać, być ciągle na straży,
Gdy inna miłość bezpieczna się darzy...
Nie ma co myśleć, już wybór zrobiony:
Wacław zostaje, Alfred oddalony.
Tak — lecz od pani jakże go oddalić
Jak? żeby siebie we wszystkim ocalić.
Trzeba dowodów... Mamże służyć za nie
I wydać przeszłe nasze zachowanie?
Nie — listy... zazdrość... bajeczne ułoż
Pani awierzy... on się wplątać może!

Na skutek nieoczekiwanego splątania intrygi demaskują się nawzajem wszyscy uczestnicy tej „domowej komedii” — żona oszukuje męża, mąż żonę, kochanek kochankę, przyjaciół przyjaciela, Justysia wszystkich.

Znakomity znawca twórczości Aleksandra Fredry, Stanisław Pigoń dobitnie charakteryzuje tę sztukę: „...uderza w niej przede wszystkim ostry, jadowity realizm w przedstawieniu obranego wycinka obyczajowości. Wzięty pod światło środowisko arystokratyczno-burżuazyjne odsłonił je Fredro w jego zepsuciu i swawoli moralnej, ukazał życie tej niybylelity wypełnione zabawą, karciarstwem, złośliwym plotkarstwem i wreszcie użyciem zmysłowym wyzwolonym ze wszelkich więzów”.

Mimo pasji demaskatorskiej Fredro nie stroi się w tożę zgorzkniałego moralizatora, ale z ironiczną pobłażliwością byskotliwie i dowcipnie bawi się perypetiami swoich bohaterów, od pierwszej do ostatniej sceny. Niektórych razi jednak brak morału, stąd do pośmiertnej edycji dzieł komediopisarza (1880 r.) wydawca wprowadził nową wersję zakończenia „Męża i żony”. Nowa scena finałowa nie miała wprawdzie uzasadnienia artystycznego w tekście sztuki, ale jako „moralna” zapanaowała na długo w późniejszych wydaniach naukowych i popularnych.

Dopiero Tadeusz Boy-Żeleński wszczął kampanię w obronie pierwotnego, autentycznego tekstu fredrowskiej komedii. Gwałtowna i zarazem ostra polemika Boya z głównym obrońcą nowego dość nieudolnie spreparowanego finału — Eugeniuszem Kucharskim zakończyła się zwycięstwem autora „Obrachunków fredrowskich”. W ostatnim krytycznym wydaniu „Pism wszystkich” Aleksandra Fredry z 1955 r. pod redakcją Stanisława Pigonia podana jest (w tekście głównym) pierwotna wersja zakończenia „Męża i żony”. Ta dość osobliwa historia tekstu dzieła dowodzi, że sztuka ta, będąca ważnym ogniwem w twórczości komediopisarza, do ostatnich niemal lat stanowiła źródło kontrowersyjnych dyskusji.

Tylko dzieła o dużych wartościach artystycznych-poznawczych wyzwalały tak sprzeczne reakcje.

Dobrze się zatem stało, że w repertuarze rzeszowskiego teatru znalazła się ta pozycja. Dobrze zważywszy dlatego, iż fredrowskie komedie ostatnio pojawiają się dość sporadycznie na scenach polskich, co poniekąd tłumaczy się dążnością teatrów do wystawiania sztuk współczesnych, nierzadko eksperymentalnych. Nie chcą być źle zrozumiane. Nie występują bowiem przeciwko nowemu, a raczej nowatorskiemu repertuarowi, ale uważam, że na scenach prowincjonalnych (nie wstydzimy się tego przymiotnika) kontaktujących się z publicznością o różnym przygotowaniu do odbioru sztuki, repertuar musi być dokładnie wyważony. Obok sztuk ekskluzywnych, o trudnym podtekście

CZESŁAW KŁAK

filozoficznym, moralnym i obyczajowym (np. „Skandal w Hellbergu” — Jerzego Broszkiewicza, „Indyk” — Sławomira Mrożka) mogą się również znaleźć i takie pozycje jak: „Ich czworo” — Gabrieli Zapolskiej i „Mąż i żona” — Aleksandra Fredry. Taki dobór repertuaru jest trafny z punktu widzenia kryteriów prawidłowości upowszechniania kultury.

Rzeszowskie przedstawienie „Męża i żony” jest w pewnym sensie importowane z Warszawy. Pomysł inscenizacji pochodzi bowiem od Bohdana Korzenińskiego, który reżyserował tę sztukę w Teatrze Polskim w sezonie letnim 1948/49 (jak podaje nota informacyjna zamieszczona w programie „ze spektaklem tym Teatr Polski występował czterokrotnie za granicą: w Paryżu, Moskwie, Londynie i Pradze), a reżyserem jest Czesław Wołłejko, który w warszawskim spektaklu występował w roli Alfreda. Zatem koncepcja przynajmniej w ogólnych zarysach nie uległa zmianie. Prawdopodobnie powtórzone zostały nawet pewne sytuacje, co wnoszą można ze zdjęcia (patrz program) przedstawiającego całą rozmowę kochanków w pierwszym akcie. Zmienili się tylko aktorzy, ale o tym nieco dalej.

Głównym założeniem inscenizacji i reżyserii było wydobyć z fredrowskiej komedii tego co najistotniejsze: ostrości satyrycznego widzenia rzeczywistości, lekkości, humoru sytuacji, postaci i słowa. Wprowadzona przez inscenizatora dodatkowa scenka, w której Alfred pożegnawszy uprzednio dom jedynącej się małżeństwa podchodzi do okna, by dać znać Elwirze, że powróci tu, skoro tylko Wacław się oddali, świetnie podkreśla demaskatorskie intencje autora. Mimo ujawnienia ciągu zdrad w tej swoistej mikrostrukturze żadna z posta-

ci nie odrzuciła się moralnie (jak tego chcieli poprawiacze Fredry) i nie zamierzała zmienić swego postępowania. Komedja zaczyna się więc da capo — od nowa.

Nie trzeba dowodzić, że kwestia dokonania wyboru obsady aktorskiej „Męża i żony” jest dość trudna. Artystów o wyraźnych predyspozycjach komicznych teatrów rzeszowskiemu nie zbywa. Stąd jedynie Aleksandra Bonarska w roli Justysii czuła się w swoim żywiole. Temperament, swoboda, szybki refleks, lekkość ruchu, duże możliwości mimiczne pozwoliły artystce stworzyć postać przekonującą, chociaż niekiedy poczynała sobie tak jak w komedii bulwarowej zapominając, że akcja rozgrywa się w arystokratycznym salonie. Podobnie, ale w zupełnie innym gatunku, Celina Klimczak w roli Elwiry panującą nad wierszem utworu nie zawsze pamiętała, że jest to mimo wszystko komedia, a nie ponury dramat. Elwira doświadczyła się w akcie drugim, że jej kochanek uwodził równocześnie Justysię i Alinę, urażona w miłości własnej, gniewa się i po trochu spazmuje, ale w koncepcji autorskiej nie jest to rozpacza pozostawiająca trwałe urazy. W interpretacji artystki scena ta została stanowczo przetranszowana, co stoi w sprzeczności z finałem sztuki, w którym Elwira przywraca do łask Alfreda.

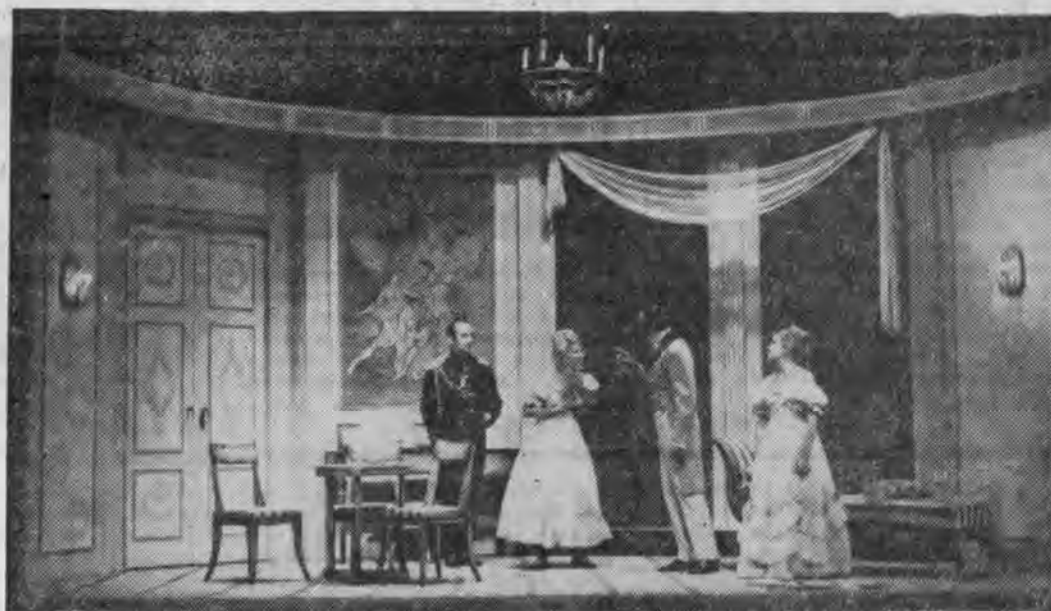
W rolach męskich wystąpili Witold Gruszecki (Wacław) i Zdzisław Sikora (Alfred). Obydwaj aktorzy nie zdołali zespolic piękna poetyckiego słowa ze swobodą salonowego sposobu bycia. Są to przecież ważne elementy w komedii fredrowskiej. Wacław znany don Juan do niedawna „trzecia osoba przy każdym małżeństwie”, jak schlebja mu Alfred, na rzeszowskiej scenie jest trochę nieporadny. Alfred natomiast, pojętny uczeń, który przerósł swego mistrza, w omawianym spektaklu nie prezentuje się jako uwodziciel tej miary. Nie umie się nagiąć do sytuacji w jakiej przychodzi mu działać. Jest taki sam wobec sentymentalnej Elwiry jak i wobec swobodnej racjonalnie myślącej Justysii. Wydaje się, że artyści przygotowując swe role, niezbyt dokładnie przestudiowali styl życia epoki, w której akcja jest osadzona.

Jednego nie można odmówić temu przedstawieniu, świetnego tempa, które utrzymuje się od początku do końca, co jest zasługą nie tylko reżysera, ale przede wszystkim zespołu aktorskiego.

1) Aleksander Fredro — Mąż i żona. Komedja w 3 aktach.

Inszenizacja: Bohdan Korzeniński, reżyseria: Czesław Wołłejko, scenografia: Irena Perkowska. Udział biorą: Witold Gruszecki, Celina Klimczak, Zdzisław Sikora, Aleksandra Bonarska, Adam Fornal.

2) Stanisław Pigoń — Spuścizna literacka Aleksandra Fredry. Praca ta została zamieszczona w 1 tomie „Dzieł wszystkich” Al. Fredry.



Scena z „Męża i żony” Aleksandra Fredry. Od lewej: Alfred (Zdzisław Sikora), Justysia (Aleksandra Bonarska), Wacław (Witold Gruszecki), Elwira (Celina Klimczak).

Nie zazdrośćmy planistom

(Ciąg dalszy ze str. 2)

już liczbę 5-6 miliardów na koniec naszego stulecia.

Oczywiście, nam nie grozi już „eksplozja”. Ale o kilku innych sprawach — pociesających, acz komplikujących życie — warto pamiętać.

Najbardziej charakterystycznym zjawiskiem będzie stałe przedłużanie się życia ludzkiego. Nauczmy się zapewne nie tylko leczyć choroby uznawane dotąd za nieuleczalne, ale także im zapobiegać. Demografowie są zdania, że pulap długowieczności, którego nie można przekroczyć ze względu biologicznych, wynosi około 110-120 lat. Wydaje się, że do końca naszego stulecia jest zupełnie możliwe zwiększenie przeciętnego wieku o około 20 lat. Zmieni się więc struktura ludności według wieku, lecz równocześnie zmienia się w istotny sposób warunki, w których będziemy żyć. Technika, procesy automatyzacji, chemizacji, „cybernetyzacji” itd. stworzą nowe warunki wymagające od każdego znacznie wyższego stopnia i bardziej wszechstronnego wykształcenia, niż ma to miejsce obecnie.

Wróćmy na chwilę do krainy fantazji. Potocznie zwykło się uważać, że w miarę postępu cywilizacji następować będzie skracanie wieku pracy, na emeryturę będziemy przechodzić w latach zapewnionych pełne korzystanie z walorów fizycznej sprawności. Dziś przecież nadmiar rąk do pracy reguluje się wcześniejszymi emeryturami. W przyszłości będzie chyba odwrotnie. Wiek pracy będzie się prawdopodobnie stale wydłużał. Wynika to z prostego rachunku; postępowanie techniki wymaga wzrostu kwalifikacji i specjalizacji. Dziś wiek zdolności produkcyjnej oznacza praktycznie 16 lat. Można przypuszczać, że za lat kilkanaście wymogi pracy w automatyzowanym świecie wykluczą niemal całkowicie brak kwalifikacji i że zdobycie takich kwalifikacji to kwestia wieloletniej i to kosztownej nauki. Studia wyższe staną się nieodzownym warunkiem pracy. Oznacza to przesunięcie wieku „wchodzenia” do pracy o 10 lat i ogromne „podrożeń” kosztów wychowania każdego pracownika. Zatem naturalną konsekwencją — przy równoczesnym przedłużaniu okresu biologicznego życia — będzie tendencja do przedłużania wieku produkcyjnego. Na emeryturę będziemy szli w wieku znacznie bardziej zaawansowanym, aniżeli dzieje się to obecnie. Natomiast zmniejszać się będzie zapewne dzienne wymiar pracy i tydzień pracy.

Uf! Planowanie, to niezwykle trudna dziedzina. Właściwie nikt nie da pewno przewidzieć się nie da, wszystko w sferze: może prawdopodobnie, chyba — a tu każą planować. Najłatwiej powiedzieć, że będzie lepiej, wygodniej, sprawiedliwiej. Ale jak?

Nie zazdrośćmy planistom

ALEKSANDER PASZYŃSKI

go mężczyzny. Mimochodem wspominała, że na ogół Monika wyręcza ją, jeśli rankiem trzeba przynieść coś cięższego; mógł z tego wnioskować, że Monika nie zawsze ma zajęte przedpołudnie. I pomyślał, że prawie nie znając Moniki nie wie nawet, czym ona się zajmuje w tym swoim biednym miasteczku.

Potem poszedł już prosto do celu, nie kontemplując po drodze Rynku i kierował się wprost w swoją ulicę. Mijał, nie oglądając się, niezliczne stojące przy niej domy i rumowiska innych, dotąd nie odbudowanych, i zatrzymał się dopiero za Skórzakami, a raczej za miejscem, na którym kiedyś żył. Dawniej w tej części ulicy, blisko już jej końca i wylotu w pola, głębokie rowy biegnęły pomiędzy drogą i domami, a na podwórko wchodziło się lub wjeżdżało po drewnianych nasypach ziemniaków. Teraz rowy zanikły, widok niepotrzebny, i płaszczyzna dawnego podwórka sięgała aż do drogi. Nie było nawet śladu po tym gładkim ukiępanym twardo miejscu, które ciągnęło się od bramy wzdłuż całego domu. Teraz wszędzie pleniła się trawa, dzika, nierówna, przetkana gęsto białymi szczawiami, zwanego tu zwyczajnie kwaskiem, żółtymi gwiazdkami jaskrów i kulistymi, srebrzystymi obłóczkami mleczów. Pośrodku niedużego kocyka

wynosił się ponad zielsko, nie całkiem jeszcze zarosły, zielejący się kamieniem, tył pozostał z pieców tego domu. Gdzieś z boku wystreliła z kopczyką smukła, dobrze już podrosła akacja, a dołem, przy ziemi, pokrzywa i zdziwiony chrzan wydzierały się spod monstrualnych łopionów. Podchodząc do kopczyka Krzysztof potknął się o coś. Rozgarbiając bukiem zielsko odnalazł jedyny element, o którym dałoby się powiedzieć, że został w całości zachowany. Był to próg, dwa stopnie z cementu. Kiedyś owe stopnie były drewniane, ale z czasem zbutwiały; któregoś dnia przyszedł specjalista, obejrzał, zmierzył, ustawił misterne ogrodzenie z deseczek, w końcu nalał w nie gęstej, szarej masy i przez dwa dni trzeba było wska kiwać do domu, co małemu chłopcu nadzwyczajnie się podobało. A teraz nie było dokąd wejść przez ocalały próg.

W trawie odnalazł się kawał dachówki i Krzysztof odgarnął ją z siebie, otulając stopnie, a potem omiotł je wiechem z kilku wyrwanych badyli. Nie miał pojęcia po co to robi i stał potem nad tymi stopniami, bezmyślnie się im przyglądając. Były naprawdę nietknięte, porządne, i tylko ich gładkość świadczyła o długim używaniu.

Zresztą najczęściej z nich korzystała matka i chłopiec, i było aż dziwne, że tak lekkie kroki mogły do takiej gładkości zdeptać chropawość cementu. W końcu usiadł, jak czasem siadał tu dawniej zślazany po jakiejś gonitwie, i siedział tak na progu swojego domu, nadstawiając twarz do słońca i mrucząc cicho przed jego blaskiem. Lecz nie był w stanie zajmować się tworzeniem czy odtwarzaniem jakiegos swojego świata, co przychodziło mu tak łatwo przy zamkniętych oczach i do czego właściwie nie przyznawał się sam przed sobą. Chyba słońce było już zbyt silne i mogło pobudzać raczej zmysły niż myśli.

Ocknął się nagle, wybity z bezwładu dźwiękiem czyjegoś głosu. Stała przed nim stara kobieta i uśmiechała się nieśmiało twarzą o cerze Indianki.

— Pan jest Krzysiu — mówiła. — Pan jest przecie Krzysiu. Ja od razu poznałam.

Wstał niechętnie, jego pozycja na tym progu wydawała mu się czemuś niepoważna i czuł się upokorzony wobec tej osoby, w szarej kiecce pół-chłopki i pół-mieszczki, której w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć.

— Panu Bogu dziękować — mó-

wiła stara kobieta. — O Jezu, Jezu, że też pan się znalazł i gdzie to pan był. Kto by to mógł pomyśleć, idę na pole i patrzę, a to Krzysiu. Ja kiedyś mleko nosiłam do pana mamusi, niechno pan sobie przypomniał.

Jej dłonie miały szorstkość cementu. Spod chusteczki, po wiejsku zawiązanej na głowie wymykały się wątle, siwe kosmyki. Spotykał ją nieraz na tym progu, a teraz plakała cicho, powściągliwie, i lzy osuwały się wolno w płatannę zmarszczek. Nigdy sam nie odnalazłby związku pomiędzy tamtą, godnie wyprostowaną gospodynią, dla której miał zawsze dużo szacunku, i tą niepozorną staruszką, która jak gdyby zmalała razem ze swoim miasteczkiem.

Dał się jej pociągnąć dalej, w głąb podwórka, w zachwaszczony ogród, który był kiedyś niedużym ogrodem. Dawni musieli się rozwiać popioł po komorze, która stała obok i w której trzymało się drzewo opalone. Cztery szczepy jabłonek, posadzone kilka lat przed wojną rozrosły się bujnie, ale zdziwały i w ich koronach prawie nie było owocu.

— Pan się będzie gniewał — mówiła stara kobieta. — Pan się be-

dzie gniewał, ja wiem, pan ma prawo się gniewać.

Ostatni skrawek ogrodu, już na styku z polem, z zagonem żółknącego żyta zajmowały grządki pomidorów, nie dalej jak wczoraj okopanych i starannie przyściętych. — Pan się będzie gniewał — mówiła stara kobieta. — To moje pole, pan pamięta. Jak tamtąd patrzyłam, to aż serce bolało. Tyle co przez ścieżkę i takie marnowanie. To i któreś wiosny skopałam na grządeckę, a potem znowu na dwie. Właściciel, myślałam sobie, Bóg jeden wie gdzie, a jak wróci to zaraz ustąpię. Pan się będzie gniewał, ale ja nie z łapczywości. Tylko serce bolało, takie marnowanie.

Odeszła truchcikiem, drobnym, biednym kroczkiem spieszącym się starych ludzi i było jasne, że pilno jej ponieść między sąsiadki wiadomość o jego przyjeździe. Słońce grało coraz mocniej i Krzysztof był zły na siebie za swój niepraktyczny strój, ciemny garnitur dobry na popołudnie w mieście i pewnie zwracający tu uwagę wszystkich.

(dokończenie za tydzień)

Fragment powieści „Przeznaczenie”, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Na wprost

Każdemu według jego branży

Ostatnio obserwuje się w naszym życiu gospodarczym dziwne zjawisko. Przychodzisz od szewca i próbujesz włożyć buty na nogi, a tymczasem się okazuje, że naprawiać je widocznie facet przebrany w zeszłym tygodniu od sprzedaży ogórków i pietruszki. Potem oczywiście bluźnisz, nie po raz pierwszy... Albo idziesz do sklepu z lakierami, pytasz „panie kochany, dobry ten lakier?” — a ekspedient odpowiada spokojnie: „chyba dobry, ale nie wiem, jestem tu dopiero parę dni”. Bo on też z innej branży.

Znamy to dobrze, nawet wstyd już na takie rzeczy narzekać. Toteż nie mam wcale zamiaru atakować ani niedouczonego elektryka, ani trenerów pływackich, którzy nie znają cawla, ani tym bardziej osób postawionych (przez przypadek) wyżej. Interesuje mnie w tej chwili problem, mający wiele wspólnego z wyżej wymienionymi przykładami, chociaż o odrobinę innym odcieniu, a w każdym razie mniej dostrzegany. No bo ostatecznie zaczyna się już nawet w zakładach produkcyjnych wprowadzać obowiązek kończenia przez robotników 7 klas, obywatel czy ktoś ma lat 17 czy 37, na wielu stanowiskach stawia się bardzo konkretne wymagania co do kwalifikacji, tylko...

O to „tylko” idzie. Tylko w charakterze plastyka może występować pierwszy lepszy pacer, który nie jest daltonistą, potrafi nogi narysować dłuższe od rąk, a głowę raczej nie kwadratową. Tutaj nie potrzeba żadnych kwalifikacji, wystarczy jak się to mówi gorąca głowa — i zamykanie do pieniędzy oczywiście. Wtedy, jeśli się umie, uderzy gdzie trzeba, jeśli się umie oprzeć sprawę o bufet albo o inny mebel — zależnie z kim rzecz — wszystko będzie na pewno pięknie!

A tymczasem wielu wykwalifikowanych plastyków na nadmiar pracy nie może narzekać. Chodzą więc, chodzą, myślą i oglądają dzieła „konkurencji”. Konkurencja wprawdzie po sławie nie sięga, na wystawy swoich wyrobów nie wysyła, za to od lukratywnych „robotek” oczywiście ręk nie umywa. I dlatego, wybaczenie, że ja zamiast o sławie, której podobno mało kto w artystycznym cechu może się za życia dorobić, o próżniach pieniędzy...

Nie o same pieniądze zresztą chodzi. Za bohomy, wystawiane na widok publiczny będziemy odpowiadać przed potomnością, słowo najszczerze daje! Będziemy, bopotomność patrzy najpierw na opakowanie mleka w proszku ze straszynym dzieckiem, jakiego wrogobym nie życzył, potem na koszmarną zabawkę, a potem na wystawę sklepową, afisz na ulicach piękne-

go miasta Rzeszowa i „pikaszowe” kolorki na ławkach i we wnętrzach lokali.

To bardzo dobrze, że zdobyliśmy się na wiele pięknych lokali handlowych na 3 Maja i kilku innych ulicach. Ale w końcu Rzeszów, to nie tylko trzy ulice, w końcu poza Rzeszowem istnieją i inne miasta! Zobaczcie jak wyglądają wystawy w Gorlicach, co za potworności powieszono tam w oknach, co się dzieje w Sanoku i nawet tak ładnie zadbanym Jasle. A raczej... lepiej nie patrzeć. To zbrodnia. Robić takie rzeczy i patrzeć na nie.

Czy nikomu nie przyjdzie do głowy, że bibułkowe pająki, godło państwowe przyklejone pluskiewkami i ozdobione przez kilka pokoleń much nie dodaje splendoru żadnej imprezie, choćby na niej śpiewał sam znakomity Michotek? Czy nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby zaprosić raz na rok do powiatowego miasteczka architekta wnętrz czy plastyka, żeby poradził jak to czy owo urządzić, jak odnowić wiejski dom towarowy, jak miła pani od grysku i cukru ma układać towar na wystawie? A może by przy okazji taki gość i wygłosił w domu kultury pogadankę o urządzaniu mieszkań? Przyszedłoby na pewno wiele osób, ludzie się meblują, coraz więcej uwagi zwracają na mieszkanie, na te szczegóły, które dawniej w ogóle uchodziły uwadze, trzeba im coś powiedzieć o jeleniach na rykowisku, podsunąć, że „to niemożliwe”, wtedy łatwiej zrezygnują.

Nie są to więc rzeczy kosztowne, nie wymagają budżetowych rewolucji, tylko jednej prostej rzeczy: odrobiny zainteresowania. No i drugiej rzeczy, o której mówię tu z pewnym skrupulem. Nie czujemy się, że dyrektor przedsiębiorstwa handlowego angażujący kombinatora i kiczarza zamiast odpowiedzialnego plastyka, robi to zawsze z niewiedzy. Jest tajemnicą poliszynela, że kombinatory bez kwalifikacji placą często haracz. Po prostu łapówkę.

To w charakterze smutnego ostrzeżenia: nie bujajmy się, jesteśmy ludźmi dośrodku, wiemy „jak to leci”, nie damy więc sobie bez końca wma-wiać, że to dziwny zbieg okoliczności i dziwne gusty pana dyrektora...

Choć to się może komuś wydać dziwne — sprawy sztuki i estetyki są jednak także wymierne, nie tylko manko w sklepie. A przy dobrych chęciach i czystych rękach na pewno uda się zmienić choć odrobinę wygląd naszych miast, przy pomocy ludzi odpowiedzialnie wykwalifikowanych. Czego sobie i Wam życzy, niżej podpisany, nieprzebrany i oczywiście z odpowiednimi kwalifikacjami.

JERZY ZYGMUNT



STEFAN
STEFANSKI —
dyrektor Muzeum
w Sanoku.

Czy Gioconda z Luwru jest Giocondą?

Radziecki historyk sztuki, profesor Gukowski — od wielu lat zajmujący się badaniami obrazów słynnego Leonarda da Vinci — opublikował ostatnio oświadczenie, w którym stwierdza, że obraz, znajdujący się w paryskiej galerii Luwru, słynny portret Giocondy, wcale nie jest portretem Mony Lisz zwaną Giocondą...

Prawdziwy portret Giocondy znajduje się w Leningradzkim Ermitażu. Obraz ten nosi nazwę „Kolombina” i przedstawia uroczą dziewczynę z kwiatami w rękach. To jest właśnie owa słynna Gioconda, zana Francesca del Gioconda, Mona Lisa, którą portretował Leonardo da Vinci w r. 1513, a nie — jak twierdził dotychczas historycy sztuki w r. 1503. Ciekawostką również jest,

jak twierdził prof. Gukowski, że genialny włoski artysta nie dokończył portretu. Uczynił to jego uczeń — Francisco Meli.

Natomiast arcydzieło Leonarda da Vinci, znajdujące się w Paryżu, przedstawia prawdopodobnie ukochaną Gulliano Medici.

Oświadczenie prof. Gukowskiego wywołało zrozumiałe poruszenie w świecie historyków sztuki. Znamy malarstwa wielkiego artysty włoskiego nie są — oczywiście — jednomyślnie w aprobachie tej, bądź co bądź sensacyjnej tezy radzieckiego uczonego. Rozgorzał więc obecnie spór, którego rozwiązania a jednocześnie wyjaśnienia zagadki Giocondy oczekują miłośnicy malarstwa z dużą niecierpliwością.

WIDNOKRĄG odpowiada

Ob. X Strzyżów. Wierszowana autobiografia nie pozbawiona elementów szczerości zwłaszcza w takich miejscach jak „żona waruje przy garnkach co dzień, a mąż tymczasem siedzi w gospodzie”. Brak jej natomiast wszelkich innych walorów utworu poetyckiego. Nie wydrukujemy.

St. Z. Tarnobrzeg. Nadesłane trzy wiersze dość interesujące, ale nad formą trzeba jeszcze trochę popracować. Prosimy nadesłać kilka dalszych próbek które Pan zapowiadają.

K. I. D. pow. Nisko. W wierszu „Istnie nie” jak na nasze czasy stanowczo zbyt wiele mistycyzmu i metafizyki, w dodatku zdarzają się powtórzenia, które nie wnoszą lecz tylko gmatwają utwór. Jeśli kontynuować, to jednak nie w takim stylu.

M. F. Krosno. Niestety, jak dowodzi historia, płatki z polskiego nie zawsze są zwłastami geniusza pióra. W konkretnym przypadku opowiadania są bardzo słabe, przegadane i chaotyczne. Nie skorzystamy.

Zdarzenia tycodnia

Przez kilka dni w woj. rzeszowskim bawił Zespół Pieśni i Tańca z Wietnamu, który w czasie pobytu na VIII Światowym Festiwalu Studentów i Młodzieży w Helsinkach zdobył za swój wysoki poziom artystyczny aż 9 złotych medali. W programie występów znajdowały się tańce regionalne z różnych okolic Wietnamu, egzotyczne pieśni i utwory muzyczne. Niespodzianką, którą artyści wietnamscy zgotowali publiczności polskiej, były wykonane przez nich utwory polskie. M. in. usłyszeliśmy arie z opery St. Moniuszki „Halka” oraz utwory z repertuaru Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Wietnamscy zaprezentowali również fragmenty starych wietnamskich utworów dramatycznych.

Zespół Pieśni i Tańca z Wietnamu występował w Przemyślu, Stalowej Woli, Sarzynie i Mielcu. Występy artystów wietnamskich były przyjmowane z dużym zainteresowaniem.

W ubiegłym tygodniu zwracaliśmy uwagę na brak wydawnictw albumowych poświęconych ziemiom naszego województwa. Z przyjemnością zawiadamiamy dziś czytelników, że już coś zaczyna się robić w tej dziedzinie. Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne w Krakowie przygotowuje album, przewodnik poświęcony 1000-letniemu Przemyślowi. Materiały skompletowano. Tekst opracował dr Aleksander Gilewicz, a zdjęcia wykonał Franciszek Zalewski.

Z końcem bm. Towarzystwo Dramatyczne im. Aleksandra Fredry, przy współpracy Towarzystwa Muzycznego w Przemyślu, wystawi operetkę Franciszka Schuberta pt. „Domek trzech dziewcząt”. Premiera tej operetki odbyła się wprawdzie przed wakacjami w Dniach Przemyśla, lecz dopiero teraz wejdzie na afisz teatru „Fredreum”. Należy przypuszczać, że spektakl będzie się cieszył dużą popularnością.

W salach Jarosławskiego muzeum otwarto wystawę poświęconą XX rocznicy Polskiej Partii Robotniczej. Zgromadzono na niej wiele interesujących eksponatów, a m. in. broń partyzancką, zdjęcia, afisze z okresu okupacji itp.

Także w muzeum Jarosławskim czynna jest wystawa prac grafika Stanisława Łuczaka. Interesująca ekspozycja obejmuje drzeworyty, rysunki tuszem i kredką.

Z inicjatywy Wydziału Kultury Prez. MRN podjęto ponownie próby zorganizowania zespołu pieśni i tańca „Rzeszów”. Przewiduje się, że bazą tej dużej grupy artystycznej będzie Wojewódzki Dom Kultury. Obecnie przeprowadzane są wstępne dyskusje na temat organizacyjnych założeń zespołu.

Literatura obozowa — myślę oczywiście o hitlerowskich obozach koncentracyjnych — jest u nas dość obfita. Jest sporo wspomnień pisarzy, którzy byli w obozach (Holuj, Kossak, Rusinek, Morcinek, Szmagłowska, Żywulska); dla niektórych wspomnienia obozowe stały się początkiem działalności pisarskiej. Jest też wiele relacji ludzi, którzy nie mają ambicji literackich, a uważali po prostu za swój obowiązek przekazać przyszłym pokoleniom prawdę o faszyzmie.

Do tych ostatnich należą „Pamiętniki nauczycieli z obozów i więzień hitlerowskich 1939—1945” wydane przez „Czytelnika”.

Skąd się wziął tak pokaźny tom? Przecież to wydarzenie w literaturze nie tylko obozowej! W r. 1959 Związek Nauczycielstwa Polskiego rozpisal konkurs na wspomnienia nauczycieli, którzy wrócili z życiem z obozów. Było ich tam dużo, wiadomo, inteligencję otoczyli okupanci szczególną „opieką”. Ilu przetrwało? I jakie jest ich spojrzenie na ten straszliwy okres w życiu?

W Intencji Związku leżał zamiar przedstawienia losów nauczycielstwa w obozach jako uzupełnienie dzieł oświaty i szkolnictwa w czasie okupacji.

Ośmielam się twierdzić, że rezultat przerosł oczekiwania. Na konkurs napłynęły 64 prace nauczycieli z miast, miasteczek i wsi. Komisja konkursowa miała pełne ręce roboty, zanim zdołała prześledzić obszerny materiał. Oczywiście wiele spraw, wiele

zagadnień powtarzało się w relacjach. Dotyczyły one jednak różnych obozów (Oświęcim, Majdanek, Mauthausen — Gusen, Gross-Rosen, Sachsenhausen, Ravensbrück, Litomierzycze, nie licząc mniejszych czy mniej osławionych), różnych okresów i sytuacji obozowych.

Nagrodzono 6 prac, 14 wyróżnio-

TADEUSZ STANISZ

Obozowe pamiętniki nauczycieli

no. Pierwszą nagrodę otrzymał Józef Kret. W przedmowie pióra Seweryny Szmagłowskiej, zaznaczono: z Krzeszowic. Istotnie Józef Kret uczył ostatnio w Krzeszowicach, przedtem pracował w uniwersytecie ludowym na Śląsku. Ale pochodzi z Rzeszowa — konkretnie ze Staromieścia. Myślę, że niektórzy starsi mieszkańcy Staromieścia znają go, a wszyscy powinni być dumni z sukcesu swego „rodaka”. Jedną z drugich nagród przypadła Janowi Dziopkowi z Gorlic. Wielu gorlickich i młodych, i starszych zna na pewno czerstwą i wyprostowaną postać tego (dziś na emeryturze) nauczyciela wychowania fizycznego, który pomimo swych 73 lat doświadczenia WFM-ki i jedzie jak młody, tylko trochę ostrożniej. Pamiętam obu kolegów z obozu oświęcimskiego. Józef Kret zawsze koleżeńsko, życzliwy, młodzieńczy w ruchach

(a starszy ode mnie dobrych kilka lat). Dziepek — spokojny, zrównoważony, powszechnie wśród kolegów szanowany; niosący gorlicką nową świeżo przybyłym do obozu otuchę słowną, starania o lepszą pracę i... misję zupy czy parę kartofli, które zdołał „zorganizować” pomimo braku szczególniejszych w tym kierunku talentów...

Co wysuwa się na pierwszy plan w relacjach nauczycielskich? Oczywiście — koszmarnie obrazy cierpienia moralnego i fizycznego. Kret, który przetrwał do Oświęcimia w sierpniu 1941 r. pisze o swym kilkumiesięcznym „stażu” w kompanii karnej (Strafkompanie — SK), która była chyba samym dnem piekła obozowego, gdzie chodziło nie tylko o zniszczenie człowieka, ale o to, by uśmiercić go w sposób wyrafinowany, bestialski a szybki.

Jak można było przetrwać obóz a pobyt w SK w szczególności? Takie pytania mogą przyjść na myśl czytelnikowi i takie pytania zadają często ci, którzy nie byli w obozie.

Nie tu miejsce, by wyczerpująco odpowiadać, na to pytanie. Ale obok wielu istotnych czynników, które odgrywały poważną rolę — autorzy wspomnień piszą o silnej

woli przetrwania, o niepoddawaniu się ponurym nastrojom bliskiej a pewnej śmierci, o harcie duchowym. To nie są frazesy, przykładów jest wiele.

A druga sprawa — to solidarność więźniów. Nie wszystkich, wiadomo. Z pamiętników można się dowiedzieć, że po uwolnieniu obozów przez wojska alianckie

zginął w drodze samosądu niejeden esesman, ale i niektórzy więźniowie, co w charakterze starszych obozu czy kapów znęcali się nad swymi towarzyszami niedoli obozowej.

Ale dla wielu więźniów obóz był w pewnym sensie szkołą polityczną. Polak, Rosjanin, Czech, Żyd — to byli współtowarzysze rzeczywistości obozowej. Były dyskusje i spory namienne, nie zniknęły różnice przekonań, ale wróg był jeden — faszyzm, wobec którego trzeba było być solidarnym.

Dla wroga życie ludzkie nie miało znaczenia — ginęły miliony. Ale mogło zginąć jeszcze więcej, gdyby nie koleżeńskość, czynna postawa wielu więźniów, którzy w obozie byli dłużej, mieli „chody” i używali tych „chodów” dla ratowania kolegów. Ile np. ludzi uratował wspomniany w relacji

Kreta dr Kłodziński? A takich było więcej.

Specyfikę nauczycielską stanowiła praca oświatowa, samokształceniowa. Nie wszędzie i nie zawsze. W jednym „lagrze” było ku temu więcej sposobności, gdzie indziej warunki na to nie pozwalały. A taka praca dawała sporo psychicznego wytchnienia, odrywała choćby na krótko od ponurej rzeczywistości obozowej, pomagała w przetrwaniu.

O tych sprawach pisze największej Urszula Wińska (II nagroda) na tle życia w obozie dla kobiet w Ravensbrück. Tu nie mogło brakuować nauczycieli — i nauczycielek. To była piękna ich karta obozowa.

900 stron — to kopalnia materiału, który w druku trzeba było tu i ówdzie skrócić, by uniknąć powtarzań.

Tragiczny dzień Majdanka (3. XI 1943) kiedy rozstrzelano 18.000 Żydów, wrażenia byłego więźnia obozu w Mauthausen-Gusen, który po 15 latach zwiedził dawny obóz wraz z całą delegacją polską, na czele której stał Józef Cyrankiewicz, były wizerunek Oświęcimia i Mauthausen, opis ucieczki z „lagru” położonego w głębi Niemiec...

Po co wyliczać? Trzeba samemu sięgnąć do tej lektury. Znajdziemy w niej nie tylko realistyczny opis okrucieństw i deptania godności człowieka, ale — mimo wszystko nutę optymizmu, nutę — humanizmu.

TADEUSZ STANISZ